

TEMATY TYGODNIA

- 10** Jacek Żakowski
Ideologiczna wojna świat
13 Edwin Bendyk
Google zaciska sieć

POLITYKA

- 16** Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka
Tłok na prawicy
18 Wojciech Szacki
Hofman rośnie
20 Adam Szostkiewicz
**Wizerunek Kościoła:
zimno, zimno, cieplej?**

KRAJ

- 22** Joanna Cieśla **Marzenia
nasze dość powszednie**
26 Marcin Kołodziejczyk
Ofiary adopcji
28 Rozmowa z fotografem
**Przemysławem
Pokryckim**
o naszych rytuałach

RYNEK

- 32** Joanna Solska
Gdzie szyją nasze firmy
35 Adam Grzeszak **Dokąd
jadą samochody
elektryczne**

ŚWIAT

- 38** Dominika Pszczółkowska
**EUROPA Skąd się
biorą dzieci**
41 Katarzyna Kwiatkowska
**CZECZENIA Kreml
rozpieszcza Czeczenię**
44 Rozmowa z kandydatem
SPD na kanclerza Niemiec
Peerem Steinbrückiem

HISTORIA

- 46** Tomasz Łabuszewski
**Dlaczego Andrzej
Romanowski podważa
legendę rotmistrza
Pileckiego**
49 Andrzej Romanowski
**Dlaczego IPN donosi
na Pileckiego**
50 Andrzej Krajewski
**Piłka nożna
w niemieckich
obozach**

NAUKA

- 54** Edwin Bendyk **Świecące
króliki, rybki – czyli
o tym, jak sztuka
i nauka się przenikają
i czemu to służy**

W NUMERZE

POLITYKA 22/27.05–4.06.2013



10 Co świętować,
jak świętować



28 Komunie, śluby, pogrzeby
– kronika obyczajów



38 Jak Europa
robi dzieci

54 Od pająkokozy
do pikseloży



- 58** Janusz Gil
**Naukowy ranking
polskich uczelni**
62 Grażyna Jasieńska
Pożytki z pasożytów

WAKACJE 2013

- 64** Marek Henzler
**Gdzie będą w tym roku
wypoczywać rodacy**

KULTURA

- 74** Rozmowa z **Richardem
Lourie** o pokoleniu
beatników, spotkaniu
z Hemingwayem
i przyjaźni z Miłoszem
77 Mirosław Pęczak
**Antycelebryta
Wojewódzki**
78 Dorothea Szwarcman
**„Święto wiośni”:
legendy i skandale**
80 Sebastian Frąckiewicz
**Następcy Kajka
i Kokosza**
83 KAWIARNIA LITERACKA
Jacek Dehnel
84 Bartek Chaciński
**Podkradanie
w muzykowaniu**
87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

ŁUDZIE I STYLE

- 88** Mirosław Filiciak,
Patrik Wasiak
**Od VHS do ACTA
– czyli rewolucja
z magnetowidu**
92 Jan Błaszczak
**Hatak – grupa
sieciowych tłumaczy**
95 Marcin Piątek
**Jak Holender wziął piłkę
w swoje ręce**
98 Piotr Adamczewski
**ZA STOŁEM
Co mamy z pszczoł**
100 Janusz Wróblewski
Bardzo dobre Cannes

NA WŁASNE OCZY

- 108** Aleksandra Lipczak
fotografie Tomasz Ciech
i Corbis
Śladami króla kokainy

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski
• **6** Ludzie i wydarzenia • **70** Afisz
• **103** Passent • **104** Hartman
• **105** Do i od redakcji • **106** Fusy,
plusy i minusy • **114** Polityka
i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

felieton



Woda z mózgu

Kryzys przywództwa na scenie politycznej narasta, sięgając coraz głębiej w przeszłość. Skutek jest taki, że 33 lata po historycznym strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina nie wiadomo, kto nim kierował. Do niedawna niekwestionowanym przywódcą był Lech Wałęsa, jednak dwa tygodnie temu jego przywództwo osłabło i zaczęło mu się wymykać z rąk. Legendarna uczestniczka tamtych wydarzeń Henryka Krzywonos w jednym z tygodników na nowego przywódcę strajku wysunęła kandydaturę marszałka Senatu Bogdana Borusewicza. Inna legenda Sierpnia Andrzej Kołodziej potwierdził, że „mózgiem był Borsuk”, który strajk wymyślił, a następnie wysunął Wałęsę na przywódcę. Wałęsa zapewnia, że przywództwa strajku nie odda

i będzie na jego czele nadal stał. Ale i tak sytuacja w kierownictwie strajku bardzo się skomplikowała, bo jeśli nawet Wałęsa jest wciąż jego przywódcą, to mózgiem jest teraz Borusewicz. Fakt, że mózg należy do jednej osoby, a przywództwo strajku do innej, jest oczywiście układem niedoskonałym i mało komfortowym, dlatego trudno się dziwić wynikającym z tego faktu problemom komunikacyjnym między mózgiem a osobą przywódcy.

Niektórzy zarzucają Krzywonos i Kołodziejowi awanturnictwo – w końcu strajk się udał, jego historyczne skutki są znane, a wymiana przywódcy, który już się sprawdził, może być tylko podważyc. Zresztą, jeśli Krzywonos z Kołodziejem koniecznie musieli zmienić Wałęsę, łatwiej byłoby im to zrobić w sierpniu 1980 r., gdy Wałęsa nie był szerzej znany, a nie dziś, gdy jest światową legendą, laureatem Nobla, w dodatku byłym prezydentem RP.

Panuje opinia, że gdyby Wałęsa wiedział, że to nie on jest przywódcą i mózgiem strajku, nigdy nie zgodziłby się stać na jego czele. On sam przyznaje wprawdzie, że Borusewicz był pomysłodawcą strajku i autorem pierwszych postulatów, ale generalnie „jego zachowanie i pomysły nie były korzystne dla strajkujących”. Na szczęście, mimo pomysłów Borusewicza, strajkującym w sierpniu 1980 r. udało się zwyciężyć. Może dlatego, że podczas strajku wszyscy jeszcze dobrze wiedzieli, kto jest przywódcą i mózgiem, a nawet jeśli już nie wiedzieli, to w każdym razie fakt ten udało im się utrzymać w tajemnicy.

Lech Wałęsa wątpi, czy uczestnicy strajku w Stoczni im. Lenina zdolają ustalić, kto był jego mózgiem i przywódcą, dlatego zaapelował, by zrobili to za nich historycy i dziennikarze. Miejmy nadzieję, że im się uda, bo jeśli nie, to niewykluczone, że prawomocną decyzję w tej sprawie będzie musiał podjąć sąd.

JUŻ TERAZ ZADBAJ O SWOJĄ PAMIĘĆ I SPRAWNOŚĆ UMYSŁU!

Ginkofar® – PIERWSZY I JEDYNY W POLSCE PREPARAT Z EKSTRAKTEM Z MIŁORZĘBU JAPÓŃSKIEGO PRZEBADANY KLINICZNIE!³

-  **UDOKUMENTOWANA POPRAWA FUNKCJI POZNAWCZYCH** – pamięć i koncentracja
-  **UDOKUMENTOWANA STABILIZACJA** procesu otypiennego
-  **UDOKUMENTOWANE BEZPIECZEŃSTWO** stosowania



Należy zachować ostrożność podczas jednoczesnego stosowania Ginkofaru z aspiryną (kwas acetylosalicylowy).

Ginkofar® TO SPRAWNOŚĆ UMYSŁU, KIEDY NAJBARDZIEJ JEJ POTRZEBUJESZ!

Ginkofar®
Ginkgo bilobae folium extractum siccum, 40 mg, tabletki powlekane

Wskazania: Ginkofar® stosuje się w zaburzeniach krążenia mózgowego z następującymi objawami: utrudniona koncentracja myślowa, zaburzenia pamięci, zawroty i bóle głowy, szum w uszach, osłabienie słuchu i wzroku, oraz krążenia obwodowego, któremu towarzyszą zaburzenia w ukrwieniu kończyn dolnych – uczucie zimna i bólu w stopach.

Przeciwwskazania: Nadwrażliwość na składniki leku. Zła tolerancja leku. Lek zawiera laktozę i z tego względu nie powinien być stosowany u pacjentów z rzadko występującą dziedziczną nietolerancją galaktozy, niedoborem laktazy (typu Lappa) lub zespołem złego wchłaniania glukozy-galaktozy.

Podmiot odpowiedzialny: Biofarm Sp. z o.o., ul. Wąbrzyńska 13, 60-198 Poznań.

1) Wśród preparatów zawierających ekstrakt z miłorzębu japońskiego, IMS Data View, 03.2013.

2) Wśród wszystkich leków ziołowych w Niemczech.

3) Leszek Bidzan, Adam Bilikiewicz, Jacek Turczyński, Wstępna ocena skuteczności i bezpieczeństwa wyciągu z miłorzębu japońskiego (preparat Ginkofar) w terapii zespołów otypiennych, Psychiatria Polska 2005, s. 559-566.

4) ChPL Ginkofar.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.

[Kup książkę](#)

Premier partyjnie przyspiesza

Jesienią tego rządu już nie będzie – oświadczył Paweł Kukiz, który ostatnio zaczyna coraz śmielej rozdawać karty w naszej polityce. Ten artysta i celebryta – na dodatek radykalizujący się – staje się niezbędny w tak wielu inicjatywach, że wkrótce będzie można o nim powiedzieć, iż biega z taczkami tak szybko, że nie ma czasu ich załadować. Na razie jednak wozi jeden podstawowy ładunek, czyli staje na czele wszystkich oburzonych, bez względu na przyczynę oburzenia, byle jakoś dotknęło to Donalda Tuska. Ma obsesję obalenia premiera dorównującą tej, jaką wykazywał się dotychczas Jarosław Kaczyński. Zresztą wizja obalenia rządu przez Kukiza zaniepokoiła już Kaczyńskiego, który zdecydowanie woli partię od luźnych struktur powoływanych nawet do zadania zgodnego z jego celem. Za wyrażony publicznie niepokój Kaczyński dostał od Kukiza nagane. W tej sytuacji nie mogło artysty zabraknąć przy inicjatywie odwoływania prezydenta Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz. Właśnie rozpoczęło się zbieranie podpisów pod wnioskiem o referendum, a potrzeba ich ponad 130 tys. Inicjatywę prowadzi burmistrz Ursynowa Piotr Guział, podobno lewicowy, ale mający wyjątkową siłę przyciągania, skoro zainteresował wszystkich – od lewicowców po ruch narodowy. Wspólną cechą zjednoczonych pod szyldem Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej jest to, że w przeszłości zajmowali w mieście różne stanowiska i je potracili. Nie zawsze w okolicznościach chwalebnych. Zebrali się więc salon oburzonych-odrzuconych i rusza po władzę. Motywację mają niewątpliwie wielką, bo czyż jest w polityce coś silniejszego niż

chęć ponownego objęcia stanowisk, najlepiej wyższych niż się zajmowało? Guziałowi marzy się ponoć fotel prezydenta stolicy.

Trudno nie zauważyć, że inicjatywa podjęta została w wyjątkowo sprzyjającym momencie. Platforma notuje bezprecedensową serię wpadek w samorządach; straciła władzę w Elblągu, w Żaganiu, w Łodzi prezydent miasta nie ma większości i o przyszłości kilku radnych decydować będzie sąd koleżeński. Wszystko na własne życzenie, wedle bardzo podobnego scenariusza, bo w PO frakcje ścierają się nie tylko na szczytach władzy, zyskując natychmiast stosowny rozgłos (co powiedział Schetyna, a co Grupiński; co robi Gowin, czy już wykosza ostatecznie stronników Tuska), ale przede wszystkim na dole, w terenie. I nikt nie ma głowy, by się nimi zająć. Premier ma i tak nadmiar obowiązków, pierwszy wiceprzewodniczący rozmyśla, czy na przewodniczącego wystartować i przynajmniej Tuska mocno osłabić, posłowie patrzą w sondaże i liczą kurczące się przyszłe mandaty. Losy prezydent Warszawy mogą więc potoczyć się różnie, bo to nie jest pogoda dla PO, a porażka wiceprzewodniczącej partii to już sensacja dużego kalibru. Jest się o co starać i nic dziwnego, że PiS już ofiarowuje pomoc, Ruch Palikota chętnie się przyłączy, a kto wie, jak zachowa się SLD. Niby Leszek Miller jest ostrożny, ale przecież bycie w opozycji zobowiązuje. Warszawska porażka byłaby bardzo ciężkim ciosem dla prestiżu całej Platformy i Donalda Tuska osobiście. Samorządowych gier może być zresztą więcej, bo już widać, że opozycja tę zaba-



wę „w wybijanego” zwietrzyła. PO nie potrafiła zacząć żadnej porządnej gry. Przeciwnie, rozsypuje się przy każdej okazji. Nawet nieśmiało, bo nieśmiało, ale zaraziła się „wirusem Kukiza”,

że tego rządu jesienią już nie będzie. Pojawiały się pierwsze rozważania, że może będzie rząd Schetyny, zaś hasło – Schetyna do rządu – znalazło wielu zwolenników, z Gowinem na czele. Nie bardzo wprawdzie wiadomo, co Schetyna miałby w tym rządzie robić i jaki segment jako tzw. rezerwa strategiczna wzmacniać, ale ważne, żeby wszedł do rządu. Tak jakby funkcja pierwszego wiceprzewodniczącego do żadnego pozytywnego działania, choćby w terenie, nie zobowiązywała.

W tej sytuacji próbą wyjścia z impasu jest scenariusz przygotowany przez premiera, którego celem zasadniczym jest przyspieszenie wyborów przewodniczącego Platformy. Tusk chciałby latem, może już w lipcu, uporządkować sytuację w partii, a przede wszystkim skłonić kontrkandydatów, by zamiast prowadzić kulurowe rozgrywki, wyłożyli karty na stół. Pomysł wcześniejszy, by zafundować partii i sobie ponadroczną kampanię wyborczą, której kulminacją miałyby przypadać na czas ostatnich przygotowań wyborów do Parlamentu Europejskiego i niewiele wyprzedzać kampanię samorządową, nie był roztropny.

Lipcowe porządki będą miały jednak znaczenie tylko wtedy, kiedy wczesną jesienią uda się wyjść z czymś więcej niż rekonstrukcja i tuskobus. Zmiana kilku twarzy już żadną nową jakością nie będzie, nową jakością byłaby poważna reorganizacja centrum państwa, przygotowanie go do nowych zadań, które wypada sformułować. Tak aby decyzje, zwłaszcza gospodarcze, po prostu zapadały, a nie grzęzły w międzyresortowych uzgodnieniach, tym prawdziwym trójkacie bermudzkim. I żeby o nich porządnie informowano. Na przykład premier rzucił kiedyś pomysł utworzenia resortu energetyki. To miało sens, gdyby polegało na likwidacji Ministerstwa Ochrony Środowiska, Skarbu i zmiany kompetencji resortu gospodarki. Połączenie edukacji z nauką też wydaje się rozsądne. Przy takich zmianach pojawiłaby się możliwość innego rządzenia. Na razie premier zajął się partią, bo od siły przywództwa, jakie zdoła uzyskać w Platformie, będzie zależała możliwość istotnych zmian. Tusk mówi o „scenariuszu szybkich działań”, na razie pisze jednak tylko prolog. Scenariusz szybkich działań z prawdziwego zdarzenia musi mieć jeszcze kilka aktów.

Jan Koza



© JAN KOZA

Obywatelu Europy, zbuntuj się

Każdy obywatel Unii może wpłynąć na jej kształt, wnosząc petycje do Parlamentu Europejskiego, a od 1 kwietnia ub.r. zgłaszać także europejskie inicjatywy obywatelskie. Wystarczy, że skrzyknie się co najmniej siedmiu obywateli z siedmiu różnych unijnych krajów i grupa ta we wniosku do Komisji Europejskiej wskaże, które postanowienia unijnego prawa należy usunąć, zmienić bądź dopiero wprowadzić. Po rejestracji wniosku przez Komisję komitet obywatelski inicjatywy ma rok na zebranie miliona deklaracji poparcia. Można je zbierać (na papierze lub drogą elektroniczną) w całej Unii, ale by zostały uznane za ważne, w co najmniej siedmiu krajach należy zebrać ich określoną minimalną liczbę. Zależy ona od liczby osób uprawnionych do głosowania w wyborach do Parlamentu Europejskiego i np. dla Polski wynosi 38 250 podpisów. Ma to uniemożliwić ludnym krajom realizowanie partykularnych interesów poprzez inicjatywy obywatelskie. Po zebraniu miliona podpisów Komisja

Europejska wniosek musi rozpatrzyć. Może wszcząć proces legislacyjny bądź – uzasadniając to – wniosek odrzucić. Dotąd Komisja zarejestrowała 19 inicjatyw i 8 odrzuciła z powodu błędów formalnych bądź przekonania, że postulowana zmiana prawa nie leży w jej kompetencjach (chodziło m.in. o śpiewanie unijnego hymnu w neutralnym języku esperanto). Spośród zarejestrowanych wniosków pięć wycofali sami organizatorzy (m.in. o wprowadzenie dyrektywy określającej wymogi dobrostanu dla krów mlecznych). Pod 14 wnioskami zbierane są podpisy. Obywatelskie komitety postulują m.in.: ograniczenie prędkości w terenie zabudowanym do 30 km/h, zakaz prowadzenia doświadczeń na zwierzętach, opracowanie modelu edukacji zwinzonego Europejską Maturą, prawo dostępu Europejczyka do wody i kanalizacji (jako usługi publicznej niepodlegającej prawom rynku), wprowadzenie unijnego zakazu popełniania zbrodni przeciwko środowisku naturalnemu, zniesienie w UE opłat za roaming i zawieszenie

części Pakietu Klimatyczno-Energetycznego z 2009 r. do czasu podpisania umowy o emisji CO₂ przez największych emitentów: Chiny, USA i Indie. Tę ostatnią inicjatywę zgłosił komitet, któremu przewodzi poseł Ludwik Dorn.

Dotychczas tylko pod inicjatywą o prawie do wody i kanalizacji zebrano 1,4 mln podpisów. Drugą z takim poparciem zapewne będzie inicjatywa „Jeden z Nas” zgłoszona przez Carlo Cassiniego, włoskiego eurodeputowanego. Opierając się na wyroku Trybunału Sprawiedliwości z 18 października 2011 r. w sprawie Brüstle’a, w którym stwierdzono, iż życie ludzkie zaczyna się od poczęcia, a embrion ludzki zasługuje na poszanowanie jego godności i integralności, Cassini domaga się zaprzestania finansowania z budżetu Unii eksperymentów na ludzkich embrionach i promocji aborcji. Inicjatywę wsparli papież Benedykt XVI

i jego następca – papież Franciszek. Do zbierania podpisów w Polsce wezwali nasi biskupi, a katolickie pisma opublikowały formularze do ich składania. W Komitecie tej inicjatywy zasiadają m.in. prof. Bogdan Chazan i publicysta Tomasz Terlikowski, a ambasadorem akcji jest Przemysław Babiarski, komentator sportowy. Wygląda na to, że większość deklaracji poparcia dla tej inicjatywy (356 tys.) pochodzić będzie z Polski. Pierwsze roczne terminy zbierania podpisów upłyną jesienią br. Niebawem zobaczymy, czy inicjatywy obywatelskie wzmocnią europejską demokrację, a nawet (zdaniem Maroša Šefčoviča, wiceprzewodniczącego Komisji) będą krokiem na drodze ku ponadnarodowej elektronicznej demokracji europejskiej, czy też pozostaną pozornym narzędziem demokracji bezpośredniej, nieco zakłócającym spokój brukselskim eurokratom.

MAREK HENZLER

Komendant bez prawa jazdy

Nadinspektor **Krzysztof Gajewski**, pierwszy zastępca komendanta głównego policji, często opisywany jest na policyjnych forach. Podwładni na różne sposoby komentują fakt, że zwierzchnik drogówki nie ma prawa jazdy.

JULIUSZ ĆWIELUCH: – Panie komendancie, czy pan zawsze jeździ przepisowo?

NADINSPEKTOR KRZYSZTOF GAJEWSKI, zastępca komendanta głównego policji: – Po pierwsze, nie mam prawa jazdy.

Zabrali panu?

Nie, nie zabrali. Kurs na prawo jazdy zdałem, bo taki był wymóg ukończenia szkoły policyjnej. Natomiast nie odebrałem tego dokumentu, ponieważ za kierownicą nie czuję się najpewniej i nie ciągnie mnie do jeżdżenia samochodem. Jeżdżę na rowerze.

Od ponad roku podlega panu również drogówka. Nie kusi pana, żeby pokazać podwładnym, że pan też potrafi?

Odpowiadam nie tylko za drogówkę, ale również za główny sztab policji, biuro operacji antyterrorystycznych, przewod-



ników psów, policję wodną – a nie jestem komandosem, przewodnikiem psa służbowego czy motorowodniakiem. Jestem policjantem. Ale nie uważam, żeby prawo jazdy było mi niezbędne do zarządzania siłami policyjnymi.

Ale w Gdańsku jako komendant miejski jeździł pan służbowym skuterkem.

Jeździłem skuterkem, który miał pojemność i prędkość ograniczoną konstrukcyjnie tak, aby można było z niego korzystać bez żadnego dokumentu uprawniającego do jazdy. Nawet brałem udział w tzw. zdarzeniu drogowym, kiedy kierujący samochodem wyjechał mi z podporządkowanej. Musiałem w kontrolowany sposób położyć skuter, żeby nie doprowadzić do zderzenia. Jednak do samochodu mnie nie ciągnie. Mam takie przeświadczenie wewnętrzne, że nie chcę stanowić zagrożenia dla innych na drodze. Realnie oceniam swoje możliwości.

Jednak samochód pan ma?

Jestem współwłaścicielem, ale to żona prowadzi.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH



© MAXPPP/FORUM

Algieria u wezgłowia

Trzy tygodnie temu 76-letni prezydent Algierii **Abdelaziz Buteflika** udał się na leczenie do Paryża z powodu „niewielkiego udaru”, jak podano oficjalnie, i słuch o nim zaginął. Pierwszy komunikat o stanie zdrowia głowy państwa, że systematycznie się poprawia i „niedługo choroba prezydenta będzie tylko złym wspomnieniem”, został opublikowany przez premiera Abdelmaleka Sellala dopiero wtedy, gdy już miały się ukazać dwa dzienniki z informacją, że Buteflika, w stanie śpiączki, został potajemnie odtransportowany do Algieru. Nakład został skonfiskowany, a wydawca oskarżony o zamach na bezpieczeństwo kraju. Ale i piosenkarz Enrico Macias, który odwiedzał prezydenta w szpitalu, powiedział katarskim mediom, że „poważnie obawia się o jego życie”. Buteflika od 1999 r. rządzi już trzecią kadencję, w kwietniu przyszłego roku nie wykluczał startu w wyborach po czwartą. Zapewniał Algierii dziurawą demokrację i byle jaką stabilizację, ale zawsze jakąś. A burze arabskiej wiosny przeszły tu bokiem. Teraz mało kto ma gotowy scenariusz na przyszłość.

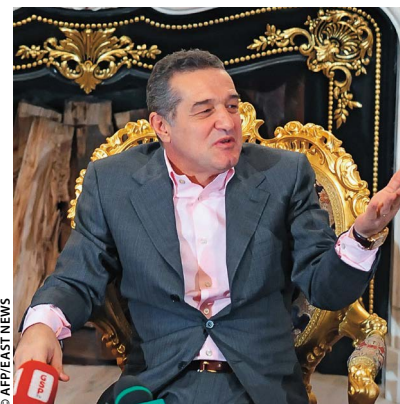
Papieżu, nie popieraj tej ustawy

Tak apeluje do Franciszka grupa znanych postaci czeskiego życia kulturalnego. Odwołują się do głoszonej przez nowego papieża wizji Kościoła ubogiego. Chodzi o ustawę o odszkodowaniach dla 16 Kościołów i Związku Gmin Żydowskich za majątek znacjonalizowany przez władze komunistyczne w latach stalinowskich. Została już przyjęta w izbie niższej parlamentu. Państwo ma w ciągu 30 lat wypłacić w sumie 134 mld koron (ok. 21,7 mld zł), częściowo w formie gruntów i nieruchomości, częściowo w gotówce. Rokowania – najwięcej, 47 mld, otrzymałby Kościół rzymskokatolicki – trwały aż 20 lat i od początku wywoływały ostre spory. Czeszy socjaldemokraci zwalczały projekt m.in. billboardami przedstawiającymi rękę w niebieskim

(kolor prawicy) rękawie, wręczającą pękatą sakiewkę ręce przysłoniętej ornatem. Z kolei stronnicy odszkodowań – wśród nich wdowa po prezydencie Václavie Havlu – atakowali lewicę za antykościelną kampanię nienawiści w stylu nazistowsko-komunistycznym. Do trybunału konstytucyjnego zgłoszono trzy wnioski o uznanie ustawy za niezgodną z konstytucją. Dwa – socjaldemokratów i komunistów – trybunał już odrzucił, podtrzymując prawo Kościołów do zabranej im własności. Na 29 maja sędziowie wyznaczili początek rozpatrywania wniosku grupy senatorów, reprezentujących inicjatywę obywatelską przeciwko ustawie. Według sondaży, aż 70 proc. obywateli Czech nie popiera odszkodowań dla Kościołów.

Gigi za Schengen?

Został zatrzymany na lotnisku, gdy prywatnym samolotem miał odlecieć do Jerozolimy. „Kiedy mam kłopoty, zawsze modłę się na grobie Jezusa” – tłumaczył po aresztowaniu. Na obrazie na motywach Ostatniej Wieczerzy sam jest Jezusem, a apostołami piłkarze bukareszteńskiej Steauy, mistrza kraju, której jest właścicielem. A przy okazji **George Becali**, czyli popularny Gigi, jest jednym z najbogatszych Rumunów; dorobił się na nieruchomościach, a zaczynał od dzinsów i mydła z Turcji. „Rumunia nie jest krajem Chrystusa, jest krajem Szatana” – kontynuował wątek. Za takie frazy pokochali go telewizywie, bo mówił, co myśli, na przykład o Cyganach. Zakazał puszczać Queen na swoim stadionie z powodu gejostwa Freddiego Mercury’ego. W swoim pałacyku w centrum Bukaresztu, pełnym



© AFP/EAST NEWS

złoci, przyjmował interesantów na złotym tronie. Taki ktoś musiał imponować. Dwa razy chciał być prezydentem, ale dostał ledwie ponad procent głosów. Nazajutrz po zatrzymaniu Gigi usłyszał wyrok: trzy lata za korupcję. Chodzi o sprawę jeszcze z 1996 r., kiedy przekupił ministra obrony i jednego z generałów (chodziło o atrakcyjne działki). Tamci dostali po dwa lata. Wyrok jest prawomocny, a że ma już dwa lata w zawieszeniu za bezprawne zatrzymanie trzech ludzi, którzy mieli mu ukraść samochód (i szereg innych procesów), więc powinien pójść siedzieć. Opinia publiczna uważa, że to danina złożona Unii, która krytykuje Rumunię za korupcję i zawiesiła jej wejście do strefy Schengen. Bukareszt sygnalizuje więc Brukseli: chcieliście stanowczych działań, no to je macie. A zwykli ludzie pewnie zastanawiają się, jak ich teflonowy Gigi wybrnie z nowych tarapatów?



© EAST NEWS

Dunka Emmelie de Forest,
tegoroczna zwyciężczyni Eurowizji

Znikające punkty

Tegoroczny konkurs Eurowizji, odbywający się w Malmö, rozpalił wyjątkowe namiętności dyplomatyczne. Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Rosji, oskarżył organizatorów, że ukradli punkty, które od widzów z Azerbejdżanu należały się rosyjskiej piosenkarce Dinie Garipowej. Podczas wizyty w Moskwie Elmar Mammadjarow, szef azerbejdżańskiej dyplomacji, potwierdził, że Garipowa powinna od jego kraju dostać 10 pkt, jednak z nieznanых powodów ani jeden nie powędrował na jej konto.

Rosjanka zajęła ostatecznie piąte miejsce i punkty z Kaukazu nie zmieniłyby jej pozycji, co obu ministrom nie przeszkodziło potępić „tego oburzającego postępowania”, którego „nie można pozostawić bez odpowiedzi”. Prezydent Ilham Alijew rozkazał wszczęć dochodzenie, które wyjaśni, czy to w Baku nie doszło do jakiegoś błędu, a może wręcz manipulacji. Na takie śledztwo ochotę miałby także Aleksander Łukaszenka, który narzeka na brak głosów... z Rosji. W tym roku Rosjanie nie dali Białorusi ani jednego punktu, oddając maksimum Azerbejdżanowi.

Bułgaria źle wybrała

Partia, która wygrała wybory parlamentarne w Bułgarii, domaga się ich unieważnienia. Według Obywateli na rzecz Europejskiego Rozwoju Bułgarii (GERB), prokuratura zła-mała ciszę wyborczą, bo 11 maja, dzień przed elekcją, ujawniła, że w należącej do polityka GERB drukarni znaleziono 350 tys. kart do głosowania. To miało znacząco obniżyć wynik zwycięskiego ugrupowania, które umieściło tylko 97 deputowanych w 240-miejscowym parlamencie, czyli za mało, by rządzić samodzielnie. Na enuncjacji prokuratury skorzystać miała partia turecka i nacjonaliści, którzy wspólnie z socjalistami zablokowali centroprawicy drogę do władzy.

Bojko Borisow, do niedawna premier (obalony w lutym po masowych protestach ulicznych), a także najbarwniejszy bułgarski polityk i lider GERB, zrezygnował tym razem z tworzenia rządu, m.in. dlatego, że nie wyobrażał sobie koalicji z jawnie antyeuropejskimi nacjonalistami z partii Ataka.

O ważności wyborów rozstrzygnie trybunał konstytucyjny, ale nawet za kilka miesięcy. Do tego czasu będą prawdopodobnie rządzić socjaliści, którzy po ustąpieniu Borisowa dostali misję budowy gabinetu i obiecali rząd technokratycznych fachowców. Wiadomo, czym będą się zajmować: Bułgaria niewiele skorzystała na unijnym członkostwie, jedna piąta obywateli żyje w biedzie, pensje są najniższe w Unii, a bezrobocie najwyższe od ośmiu lat.



© REUTERS/FORUM

Sami swoi

Irańska Rada Strażników wycięła w pierś ponad 600 polityków zainteresowanych stanowiskiem prezydenta Iranu. Na placu boju pozostało zaledwie ośmiu chętnych. Choć boju nie będzie, raczej wspólny grill: wśród tych, którzy przetrwali, jest m.in. dwóch poszukiwanych przez Interpol za udział w zabójstwie 85 osób i trzykrotny pogromca buntów studenckich w Teheranie. Wszystkich łączy uwielbienie dla Najwyższego Przywódcy Alego Chamenei.

Ulubieńcem Najwyższego, a więc także faworytem wyborów, jest **Said Dżalili**, najmniej doświadczony z całej stawki. Na Zachodzie dał się poznać jako nieprzejednany negocjator w kwestiach nuklearnych, choć złośliwi twierdzą, że Chamenei specjalnie wyznaczył go na to stanowisko, bo nic nie rozumie z tych negocjacji, więc nie da się przekabacić. Jeśli Dżalili wygra, miłości nie będzie też w relacjach z Irakijczykami, bo granat rzucony przez jednego z nich urwał mu nogę w czasie sąsiedzkiej wojny w latach 80.

Z kolei zwycięstwo Ali Akbara Velajati lub Mohsena Rezaei może skomplikować sytuację dyplomatyczną Iranu, bo obaj są ściągani międzynarodowym listem gończym za udział w przygotowaniu w 1994 r. ataku bombowego na centrum żydowskie w Buenos Aires. Czarnym koniem wyborów 14 czerwca może się okazać burmistrz Teheranu Mohammad Baker Kalibaf, który nawet wśród krytyków zyskał miano świetnego opiekuna stolicy – ale już nie jej mieszkańców, do których kazał strzelać gumowymi kulami.

O jeden donos za daleko



© AP/EAST NEWS

Mario Silva, tu jeszcze
z prezydentem Chávezem

Audycja „Żyletka” prezentera Mario Silvy w wenezuelskiej telewizji państwowej była ulubionym programem prezydenta Hugo Cháveza (jeśli nie liczyć jego własnego, wielogodzinnego „Aló Presidente”). Nic dziwnego: Silva co tydzień gorliwie wychwalał przywódcę i mieszał z błotem jego przeciwników, wyzywając ich od dziwek i skurczybyków oraz ujawniając kompromitujące ich nagrania, które podobno dostawał od kolegów ze służb specjalnych.

Teraz sam stał się ofiarą takiej taśmy, a jego program został zdjęty z anteny. Opozycja ujawniła nagranie, w którym Silva dzieli się swoją wiedzą o problemach kraju z oficerem kubańskiego wywiadu. Gwiazdor kpi, że nowy prezydent Nicolás Maduro jest sterowany przez żonę, a przecież „to kontynent przywódców i kobiety powinny siedzieć cicho”. Powątpiewa też, czy Chávez naprawdę chciał go zrobić swoim następcą, i ostrzega, że może dojść do zamachu stanu, bo chrapkę na władzę mają przywódcy frakcji wojskowej w rządzie. Na koniec sugeruje, że Maduro powinien zrobić pierwszy ruch i rozstrzelać rywali. Cały czas narzeka też na wszechobecną korupcję, podsumowując: „Siedzimy w gównie”.

Ta opinia dobrze oddaje ostatnie nastroje w Wenezueli. Od tygodni w miejscowych sklepach brakuje coraz więcej produktów, a tym najbardziej pożądanym stał się papier toaletowy. Dzień po ujawnieniu nagrania Silvy parlament przegłosował ustawę, która pozwoli rządowi zaciągnąć 79 mln dol. kredytu specjalnie na import tego luksusu.



Wojna świąt

11 listopada, Warszawa

Dla „Naszego Dziennika” 4 czerwca nie jest żadnym świętem. Dla mnie

JACEK ŻAKOWSKI

Wiecie Państwo, co 11 listopada 2013 r. będzie się działo w Warszawie? Ja to sobie z grubsza wyobrażam. Na Stadionie Narodowym i na placu Defilad będzie się odbywała COPA, czyli gigantyczna globalna konferencja klimatyczna z udziałem tysięcy gości reprezentujących rządy, biznes, organizacje i ruchy społeczne, instytucje międzynarodowe. Będą amazońscy Indianie w pióropuszech, Afrykańczycy w strojach ludowych z bębnami, Eskimosi (może z reniferami?), ministrowie i prezesi korporacji w pancernych limuzynach, ekolodzy wszelkiej możliwej maści, lobbyści wszystkich najbardziej śmierdzących i śmierzących branż oraz sprzedawcy bezliku genialnych patentów na zieloną przyszłość.

Wszyscy oni będą w tę i nazad krążyli ze wschodniego na zachodni brzeg Wisły, przecinając najważniejsze arterie stolicy biegnące z południa na północ. A tymi arteriami – Marszałkowską i Nowym Światem – będą maszerowały zwarte szyki polskich patriotów wszystkich odcieni i nurtów. Od faszyzujących rasistów, przez nacjonalistów i konserwatystów, po tradycjonalistycznych i otwartych katolików, proeuropejskie centrum i alternatywną lewicę z Kolorowej Niepodległej. Naziole będą tradycyjnie ganiały się po ulicach z Antifą, Kolorowa będzie puszczała balony, a kibole – race, rasiści będą się mieszały z konserwatystami, monarchistami i katolikami przedsoborowymi, żeby na ich konto coś stłuc i podpalić albo komuś dołożyć.

Cała Polska skrzyżuje się z całym światem w okolicach palmy na rondzie de Gaulle’a i przy Pałacu Kultury. Cały świat dzięki niezliczonym medialnym przekazom będzie na to patrzył z otwartymi ustami i będzie próbował zrozumieć to, czego my sami zrozumieć nie umiemy, czyli fenomen autodestrukcyjnego polskiego patriotyzmu, który nie łączy, lecz dzieli, i nie buduje, lecz niszczy

wspólnotę. Nie sędzę, by jakikolwiek inny naród budował tożsamość opartą nie na tym, co łączy, lecz na tym, co dzieli.

Jakoś tak się dziwnie porobiło, że Polska ma jedyny w swoim rodzaju patent na celebrowanie siebie. Wszystkie narodowe święta, które gdzie indziej są wielkimi manifestacjami jedności, wspólnoty i lojalności, w Polsce są manifestacją różnic, podziałów i wrogości. Cokolwiek zmieniające się władze robią, jakiegokolwiek święta wymyślają, jakkolwiek je legitymizują i organizują, zawsze kończą się na wzajemnych dąsach, awanturze lub burdzie.

Z zazdrością patrzymy na amerykańskie parady z okazji 4 lipca. Z zachwytem oglądamy marsz wielobarwnych kepi pod Łukiem Triumfalnym. Z podziwem obserwujemy gigantyczne defilady w Moskwie i kostiumowe obchody urodzin królowej w Londynie. Chciałaby polska dusza mieć takie święta i obchody w Warszawie. Na pozór nic jej się tak nie marzy, jak wielkie zjednoczenie, stopienie się w jednym polskim bycie. Ale nigdy jeszcze do tego nie dopuściła i nic nie wskazuje, by miała prędko dopuścić. Bo tym, co nas na tle innych europejskich narodów wyróżnia, jest połączenie wielkiej siły jednościowego marzenia z jeszcze większą siłą emocji i tendencji wykluczających.

W debacie publicznej zarzut „dzielenia Polaków” ma z grubsza taki ciężar, jak wysługiwanie się obcym, a większy niż zwykle złodziejstwo, korupcja czy nieudacznictwo. Wielkie narodowe marzenie jest takie, żebyśmy wszyscy zebrali się pod jednym sztandarem i w braterstwie pokazali naszą wielkość światu, a zwłaszcza sąsiadom, z którymi łączą nas odwieczne lęki. Sęk w tym, że to nasze marzenie jest przeciw naszej naturze. Jak w filmie o „Nemo” marzenie rekina, żeby nie zjadać sympatycznych rybek. Rekin mógł sobie dowolnie długo, żarliwie i bezskutecznie wraz z grupą wsparcia powtarzać „ryba – kumpel, nie żarcie!”, a my sobie przy



© KRYSZTOF MAJ/REPORTER, AP/PEA NEWS

14 lipca, Paryż

świętem nie jest 6 stycznia. I tak już zostanie. W końcu jesteście Polakami.

różnych podniosłych okazjach żarliwie i bezskutecznie powtarzamy „Rodak – kumpel, nie wróg”. Na dłuższą metę nic jednak z tego nie wynika. Jeśli nawet na krótką metę się opanujemy (jak po śmierci papieża czy katastrofie smoleńskiej), i tak niebawem musimy okres spokoju nadrobić wzmożoną wrogością.

W naszej zbiorowej pamięci szczególne miejsce mają krótkie chwile powszechnej jedności (a zwłaszcza ich mit). Jak Sierpień '80 czy papieskie pielgrzymki. Nieliczne momenty, kiedy niemal wszyscy (mitycznie) byliśmy po jednej stronie, wywołują łezkę w polskich oczach i tęsknotę w sercach. Ale ich obraz jest wyidealizowany, a czas trwania krótki.

Nie sądzę, żeby jakiegokolwiek wysiłki mogły tę sytuację zmienić. Przeciwnie. Im bardziej ktoś próbuje, tym gorszy jest skutek. Ostatnie prezydenckie obchody Dnia Flagi (między 1 a 3 maja) były doskonałym przykładem. Od kilkuset do dwóch tysięcy osób przyszło na Krakowskie Przedmieście demonstrować marzenie o wyluzowanej patriotycznej jedności w obliczu czekoladowego orła, a trzydzieści kilka milionów się z nich obelżywie lub złośliwie śmiało. To nie był skutek żadnego piarowskiego błędu ani groteskowości i niestosowności pomysłu z kosmicznie drogim czekoladowym orłem w kraju, w którym tysiące dzieci nie znają smaku czekolady. To był efekt niezrozumienia, czym dla Polaków jest flaga. A nie jest ona tym samym, czym są ich flagi dla Amerykanów, Brytyjczyków, Francuzów czy Niemców.

Dla Amerykanów ich flaga jest symbolem jedności, krwawo walczonej w wojnie secesyjnej. Kto wiesza „gwiazdki i paski”, ten mówi „nasza duma i siła w jedności”. Dla Niemców jest symbolem wspólnej odpowiedzialności za niemiecką tożsamość. Dla Brytyjczyków flaga to wyraz obśmianej w kulturze masowej imperialnej dumy. Dlatego tak chętnie widzą ją na majtkach. Dla Francuzów trójkolorowa to wyraz wspólnoty klas i wartości. Dla Polaka biało-czerwona jest głównie znakiem sprzeciwu.

Dla mojego pokolenia, które dziś trzyma w Polsce władzę, flaga wywieszona czy niesiona „za” to dość pusty rytuał, spełniany pod administracyjnym przymusem. Natomiast flaga niesiona czy wywieszona „przeciw” to ładunek potężnych emocji zakorzenionych w doświadczeniu Października '56, Grudnia '70, Sierpnia '80 i stanu wojennego. Tak się w Polsce utarło, że flagi nosili ci, którzy się sprzeciwiali. Milicja, która broniła status quo, nie używała flagi. Ta reguła przetrwała w III RP.

W wielu krajach demonstranci mają dziwny dla nas zwyczaj palenia narodowych flag. Bo flagi symbolizują tam porządek narzucony przez państwo, przeciw któremu ludzie protestują. Nam takie pomysły nie przychodzą do głowy, bo w naszych zbiorowych emocjach biało-czerwona symbolizuje wzniosłą ideę Polski, a nie jej realne, państwowe wcielenie, które żadnemu ideałowi do pięt nie dostaje. Gdy więc ktoś z własnej, nieprzymuszonej woli bierze polską flagę do ręki, to po to, by w imię ideału chłostać nią rzeczywistość.

Problem polega na tym, że ów wzniosły ideał Polski naszych marzeń i wyobrażeń, w imię którego flaga chłostuje rzeczywistość, nigdy nie został jasno zdefiniowany w sposób, który Polacy by powszechnie zaakceptowali. W XX w. Polska dwa razy się odradzała, zaskakując Polaków swoim nagłym pojawieniem. W obu przypadkach (w 1918 i w 1989 r.) dla zdecydowanej większości z nas było dalece niejasne, co to ma być za Polska. Dopiero kiedy się stawała, w panice szukaliśmy odpowiedzi na zasadnicze pytanie, czym właściwie ma być cudownie odzyskana ojczyzna. Mechanizm był podobny. Ci, którzy zbiegiem okoliczności pierwszy zdobywali władzę, tworzyli fakty dokonane wedle swoich intuicyjnych, ideologicznych, niedookreślonych wyobrażeń Polski, a ci, którzy przypadkiem znaleźli się poza obozem władzy, chcąc ją zdobyć, krytykowali nowy porządek w czambuł.

► W obu przypadkach obie strony zdawały sobie z tych okoliczności sprawę. Obóz rządzący czuł słabość swojego mandatu i wynikające z niej ograniczenia, a obóz aspirujący widział to doskonale i robił z tego użytek. W obu przypadkach obóz władzy był więc powściągliwy w stosowaniu podniosłej retoryki i symboliki narodowej, a opozycja tę nieśmiałość wykorzystywała i od samego początku chłostała władzę flagą. Ponieważ zaś obie zaskoczone przez historię strony były słabo przygotowane do budowania państwa, spór polityczny uciekał od konkretności i szybował ku abstrakcyjnym wartościom. Zamieniał się w konflikt aksjologiczny, w którym obie strony wykluczały przeciwników z uznanej przez siebie wspólnoty i nawzajem zarzucały sobie zdradę.

Zarzuty „antypolskich” decyzji, zdrady, świadomego szkodnictwa, agenturalności, nepotyzmu, korupcji, kolesiostwa, zaprzaństwa, sprzedawczykstwa, oszołomstwa zastępują w polskiej kulturze politycznej merytoryczne spory, których toczenie przekracza możliwości zdecydowanej większości klasy politycznej. Z tym zaś, kogo się wykluczyło, czyje argumenty zbywa się epitetem i kogo postawiło się poza wspólnotą, trudno jest poważnie dyskutować i szukać lepszej przyszłości. Trudno też wspólnie cokolwiek przeżywać. A szczególnie trudno dzielić z nim radość. Radość jednej strony to automatycznie powód do smutku drugiej, a każdy polski sukces staje się dla dużej części społeczeństwa kolejną polską porażką.

W takim kontekście wspólne świętowanie, a nawet celebrowanie czegokolwiek, po prostu nie jest możliwe. Chyba że kardynałowie znów wybraliby polskiego papieża albo biało-czerwoni znów zostali mistrzami futbolu. Wszystkie inne okazje mogą być co najwyżej świętami jakiejś części, ale nigdy całości, a nawet zdecydowanej większości społeczeństwa. I tego się prędko nie zmienia. Ale coś można zmienić, gdyby choć jedno z polskich świąt upamiętniało – jak zdobycie Bastylli dla Francuzów czy zwycięstwo w drugiej wojnie światowej dla Rosjan – coś, co było sukcesem dużej grupy Polaków.

Na razie polskie święta są świętami elit. I to zwykle nielicznych. Odnoszą się do gabinetowych zdarzeń, w których uczestniczyło niewielu i o których nawet w oficjalnej historycznej legendzie niewielu wiedziało. Wyznaczając święta, elity rządzące w Polsce czują własne dokonania lub sukcesy wyrastające z tradycji, którą reprezentują.

3 maja to upamiętnienie sukcesu grupki postępowej szlachty skupionej wokół króla. 11 listopada to rocznica przekazania Piłsudskiemu władzy przez Radę Regencyjną. 22 lipca symbolizował powstanie Rządu Lubelskiego. W każdym przypadku chodziło o zdarzenie ważne, ale kameralne, w którym zdecydowana większość społeczeństwa nie brała żadnego udziału i o którym dowiadywała się z dużym opóźnieniem. Trudno się dziwić, że skoro elity same sobie wymyślały święta, upamiętniające ich własne sukcesy, to z zasady same je sobie we własnym towarzystwie obchodzą.

Patrząc na święta państwowe, można mieć wrażenie, że Polska jest dziełem cieniutkiej elity otoczonej morzem jakiejś bezkształtnej i bezwolnej masy, która przez tysiąc lat nie dokonała niczego specjalnego, a nawet w niczym istotnym nie brała udziału. Tylko była. Żaden wielki, zbiorowy sukces społeczeństwa nie jest w tradycji polskich świąt specjalnie fetowany. Ani Sierpień '80, który był dziełem większości żyjących wówczas Polaków – strajkujących, wspierających, kibicujących, negocjujących po obu stronach politycznego sporu. Ani Październik '56, kiedy rękami milionów prostych ludzi definitywnie obalono stalinizm i ura-

towno częściową niepodległość, na którą pozwalała nam Jałta. Ani powstanie kościuszkowskie, które było aktem założycielskim narodu rozumianego szerzej niż tylko szlachta. Ani powstanie warszawskie, które samo w sobie nie było zbyt mądre, ale zmobilizowało dużo pięknej energii warszawiaków.

Dobrych świąt oddaje z grubsza postszlachecka, typowa dla krajów, które nie przeszły rewolucji mieszczańskiej, niezmienną od paruset lat wyobraźnię społeczną i polityczną elit. Podpowiada ona, opisaną już w „Lalce”, sprzeczną z demokracją wizję, wedle której szlachetne elity ciągną polski wóz przez wertepy dziejów, zaś niewdzięczna reszta ciąży, hamuje, przeszkadza, nie docenia, stawia bezrozumny opór, do sensownego działania musi być przymuszana albo poganiana, a w najlepszym razie czasem zgadza się pomóc lub niezbyt świadomie daje się za pomocą obietnic czy mirażów zwabić do pomocy. W tej wizji elita to mądrzy i dobrzy rodzice, zaś społeczeństwo to dzieci, które lenią się i dokazują, a powinny okazywać starszym posłuszeństwo i wdzięczność. Polskie święta państwowe są właśnie wyrazem wymuszonej przez starszych wdzięczności dzieci wobec rodziców. Jak pomnik na grobie, który zapobiegliwy staruszek stawia sobie za życia. Dlatego przebiegają w grobowej atmosferze.

Fakty nie potwierdzają takiej wizji polskiej historii. Nasza przeszłość to raczej pasmo tragicznych, popełnianych przez elity błędów. Od upadku I RP, przez powstanie warszawskie, po zacementowanie komunizmem i rynkiem. To nie znaczy, że dorobek tych elit mamy wyrzucić na śmietnik, ale też nie mają one specjalnego powodu, by się puszyć i nie powinny zbyt łatwo przechodzić nad swoimi błędami do porządku, maskując je parawanem celebrytnianych triumfów. A jeśli chcą, żeby duża część społeczeństwa wraz z nimi coś świętowała, muszą znaleźć okazję symbolizującą zbiorowy – nie tylko elitarny – sukces znaczącej części społeczeństwa. Taki, o którym jakaś istotna część obywateli będzie mogła powiedzieć swoim dzieciom i wnukom: była/em tam, brała/em w tym udział, robiła/em to dla ciebie. I o którym za kilkadziesiąt lat miliony rodziców będą mówiły dzieciom: twoja prababcia tam była, twój pradziadek tam był. Jakże to ma znaczenie, najlepiej pokazuje rocznica powstania warszawskiego: od pół wieku masowo świętowana rodzinnie i społecznie – bez względu na to, jak odnoszą się do niej rządzące akurat elity.

Przynajmniej dwa takie święta mamy na podorędziu. Wieniec strajk powszechny porozumienie 31 sierpnia 1980 r. i wybory 4 czerwca 1989 r. Oba są żywe w pamięci. W obu brały udział miliony Polaków. W obu społeczeństwo przekroczyło horyzont aspiracji elit oraz ich politycznej rachuby. Oba istotnie przyczyniły się do odrodzenia niepodległej Polski. Oba (co też ma znaczenie) przypadają w okresie, kiedy łatwo i przyjemnie jest wspólnie, masowo, radośnie świętować na świeżym powietrzu.

Schodzące już pokolenie ma sporo za uszami, co pokazuje kryzys wielu systemów społecznych, ale też dokonało rzeczy niespotykanej – zepsuta żupę rybną peerelowskiego realsocjalizmu przerobiło na pełne życia demokratyczno-rynkowe akwarium III Rzeczypospolitej. Dokonałiśmy tego wysiłkiem, zasługą i kosztem nas wszystkich, choć nie wszystkim podoba się efekt i nie każdy uważa, że mamy co świętować. Ale – przynajmniej na tle wcześniejszych historycznych doświadczeń – sukces jest niewątpliwym. Zasługuje na to, by go uczcić dużo bardziej niż dziś urzędowo obchodzone zdarzenia. Jako społeczeństwo jesteśmy to sobie winni.

JACEK ŻAKOWSKI

Umiejętnie walczy o talenty programistów, pieniądze inwestorów, serca użytkowników i poparcie w ośrodkach władzy. Rosnąca siła Google fascynuje, zaczyna też jednak niepokoić. Bezczelna arogancja budzi coraz większą niechęć. Czas na kolejny odcinek serialu o cyfrowej przyszłości świata: Google, decydujące starcie.

Diabeł tkwi w sieci

EDWIN BENDYK



© MAREK SOBČAK

Nie korzystam z Google, nie współpracuję z diabłem” – oświadczył heroicznie Erkki Huhtamo. Wybitny historyk i archeolog mediów opowiadał podczas niedawnego Biennale Sztuki Mediów we Wrocławiu o tym, co technologie porozumiewania się robią z ludźmi i społeczeństwami. W tym dziejowym procesie Google jawi się jako kwintesencja cyfrowego kapitalizmu, w którym przedmiotem obrotu i sprzedaży stali się po prostu ludzie. Dokładniej, elektroniczne informacje, jakie zostawiają po sobie w sieci.

Google rozpoczął swą karierę skromnie, w 1998 r., jako przedsięwzięcie dwóch doktorantów z kalifornijskiego Uniwersytetu Stanforda. Larry Page i Sergey Brin postanowili rozwiązać główny problem ówczesnego, XX-wiecznego Internetu. Dusił się on od szybko przybywających informacji, w gęstniejącym informacyjnym smogu coraz trudniej było dotrzeć do wartościowych treści. Istniejące wyszukiwarki nie radziły sobie z ich nadmiarem i wypływały bezlik adresów bez ładu i składu.

Page i Brin zaproponowali PageRank – sposób porządkowania witryn internetowych oparty na ich znaczeniu mierzonym m.in. liczbą linków prowadzących do analizowanej strony. Wiadomo, że witryna, do której wyszukiwarka odsyła wielu internautów, będzie ważniejsza od adresu samotnie tkwiącego w bezmiarze WWW. Gdy w cyberprzestrzeń ruszyły crawlers, czyli informatyczne roboty Google, i zaczęły badać nowym sposobem strukturę wirtualnej rzeczywistości, nastała nowa epoka, choć nikt jeszcze wówczas o tym nie wiedział.

Pomysł Page'a i Brina okazał się na tyle skuteczny, że oparta na nim wyszukiwarka Google szybko podbiła serca internautów. Studencka firma w ciągu kilku lat zdobyła pozycję monopolisty w najbardziej newralgicznym punkcie sieci. W lutym 2013 r. Amerykanie zadali Google ponad 12 mld pytań, zapewniając mu blisko 70 proc. ruchu w Stanach Zjednoczonych. W Europie dominacja Google przekracza 90 proc. Jak wynika ►

► z pomiarów Megapanelu PBI Gemius, Google i należący do niego serwis wideo YouTube są najważniejszymi miejscami polskiego Internetu, dystansując rodzime marki Onet i WP.

– *Ciekawym wyjątkiem w Europie są Czechy, gdzie ciągle mocno trzyma się lokalna wyszukiwarka Seznam* – zauważa Andrzej Garapich, prezes PBI. W końcu jednak i Czesi ulegli potędze amerykańskiego giganta, Seznam obsługuje już tylko ok. 40 proc. pytań zadawanych przez czeskich internautów, Google ponad 40 proc. Na świecie bronią się jeszcze Rosjanie z Yandeksem, Koreańczycy z Naverem i Chińczycy z Baidu. Monopol na kierowanie ruchem w sieci to jak prawo do pobierania myta na jedynym moście. Tyle że nie płacą internauci, lecz ci, którym na internautach zależy – reklamodawcy.

Kluczem do portfeli reklamodawców są dwa kolejne wynalazki Google. AdWords to „inteligentny” system wyświetlania ogłoszeń przy wynikach wyszukiwania – internauta pytający o aparat fotograficzny może spodziewać się, że w oddzielnym okienku pojawią mu się sponsorowane linki do sklepów fotograficznych. AdSense z kolei to system wyświetlania reklamy kontekstowej oferowany przez Google właścicielom innych witryn. W ten sposób monopol w świecie wyszukiwania został przetłumaczony na strumień pieniędzy z najbardziej lukratywnej części rosnącego internetowego rynku.

W Polsce w 2012 r. rynek reklamy internetowej wart był 2,2 mld zł

– według badań Adex opublikowanych przez IAB (Związek Pracodawców Branży Internetowej) i firmę doradczą PwC. Z tej kwoty 35 proc. reklamodawcy wydali na reklamę wyszukiwarkową, czyli obsługiwaną de facto przez Google. Suche dane trzeba jednak zmusić do mówienia: – *Pamiętajmy, że w 2012 r. nastąpiło załamanie rynku reklamowego w Polsce, rosły tylko wydatki reklamowe w Internecie* – zauważa Jarosław Sobolewski z zarządu IAB Polska. Rzeczywiście, zgodnie z raportem Starlink cały rynek reklamy wart był w 2012 r. prawie 8 mld zł, o 5,2 proc. mniej niż rok wcześniej. – *W tym samym czasie w Internecie wartość reklamy wzrosła o 10 proc., największe jednak przyrosty odnotowaliśmy w segmencie reklamy wyszukiwarkowej – blisko 20 proc., wideo – 65 proc. i mobilnej – 135 proc.* – dodaje Sobolewski. Mówiąc wprost – najwięcej zyskał Google, najbardziej stratne są media tradycyjne.

Niestety, spadek wpływów reklamowych w prasie to trwała tendencja, uważa Maciej Hoffman, dyrektor Izby Wydawców Prasy. – *W 2005 r. reklamodawcy zostawiali w gazetach i magazynach blisko 30 proc. swoich budżetów, w 2011 r. już tylko 15 proc. W 2012 r. nastąpiła prawdziwa rzeź: na-*

Praktyki Google
zaniepokoiły Komisję
Europejską. Prowadzi
postępowanie
antymonopolistyczne,
zarzucając firmie,
że faworyzuje
własne serwisy.

kłady na reklamę w gazetach spadły prawie o 20 proc., w magazynach o 16 proc., w telewizji o blisko 6 proc. Przez media przetoczyła się fala redukcji kosztów i zatrudnienia, osłabiająca rolę prasy jako źródła profesjonalnych treści i wiarygodnych informacji. – *Maleją nie tylko przychody z reklamy, lecz także czytelnictwo, którego spadek będzie wpływał negatywnie na edukację i rozwój społeczeństwa obywatelskiego* – zauważa Maciej Hoffman.

– *Czas na szukanie nowych, cyfrowych modeli biznesowych* – radzi Agata Wacławik-Wejman, odpowiedzialna za sprawy publiczne i relacje rządowe Google w Polsce. Zirytowani wydawcy odpowiadają: pora, żeby Google zaczął płacić. Za co? – *Model biznesowy Google polega na zerpaniu korzyści z reklamy dotychczas do treści, których sam Google nie wytwarza* – wyjaśnia mecenas Marzena Wojciechowska z Izby Wydawców Prasy. – *Źródłem treści wysokiej jakości w Internecie niezmiennie jest prasa, powinna mieć możliwość osiągnięcia stosownych korzyści z tego tytułu.*

Google nie zamierza się dzielić wpływami z wytwórcami treści nie tylko w Polsce. Na wszelkie próby negocjacji odpowiada zgrabnymi porównaniami: my tylko prowadzimy internautę do poszukiwanych przez niego treści, tak jak taksówkarz wiezie pasażera pod wskazany adres. Restaurator nie oczekuje, że taksówkarz będzie mu płacił za to, że przywiózł klienta. Dlaczego więc wydawcy chcą pieniędzy za to, że wskazujemy drogę do ich serwisów?

Wydawcy kontrargumentują: – *Same linki to pół biedy, groźniejsze jest tzw. głębokie linkowanie, jak w przypadku serwisu Google News, gdzie wynikowi wyszukiwania towarzyszy publikacja fragmentu tekstu. Internauci najczęściej poprzestają na lekturze „snippetu” i nie docierają już do oryginalnego adresu* – twierdzi mecenas Wojciechowska. – *To tak jakby tego pasażera w taksówce po drodze nakarmić przystawkami z wielu restauracji i po dostarczeniu na miejsce klient nie chciałby już wejść do żadnej. Naszym zdaniem Google narusza w ten sposób prawo autorskie.*

Google w odpowiedzi wzmacnia subtelne taksówkowe porównania konkretną propozycją: jak się komuś nie podoba, możemy usunąć jego tytuły prasowe z indeksu Google News. To znaczy skazać na cyfrową banicję. Co lepsze? – *Problem w tym, że nie sposób oszacować z góry bilansu zysków i korzyści* – komentuje Andrzej Garapich z PBI. Można natomiast popatrzeć na los przedstawicieli innych branż, którzy zadarli z Google. Jesienią 2012 r. przez prasę przetoczyły się doniesienia o wojnie, jaką wytoczyły Google niektóre firmy internetowe.

Oskarżyły giganta, że wyciął z indeksu wyszukiwarki wiele serwisów – m.in. porównywarkę cen Nokaut.pl. W rezultacie liczba użytkowników zmalała o 1,5 mln! Google argumentuje, że działania dyscyplinujące dotyczą stron stosujących praktyki niezgodne z regulaminem, tzn. próbujących sztucznie poprawić miejsce witryny w rankingu wyszukiwania, stosując zakazane chwytły. Był czas, kiedy nawet BMW zostało skazane na banicję. Przedstawiciele branży internetowej zarzucają z kolei Google hipokryzję i wykorzystywanie monopolu: wiadomo, że amerykański potentat sam oferuje podobne usługi jak lokalna konkurencja, manipuluje więc wyszukiwarką dla swoich korzyści.

– *Nie manipulujemy wynikami głównej wyszukiwarki* – oświadczył stanowczo Jack Menzel podczas Google Day w Londynie. – *Nie miałoby to żadnego sensu – zaufanie do wyników wyszukiwania to podstawa całego naszego biznesu.*

Zapewnienia zapewnieniami, a monopolistyczna pozycja Google jest faktem, który zaniepokoił Komisję Europejską. Prowadzi ona postępowanie antymonopolowe, zarzucając firmie, że faworyzuje własne serwisy, że czerpie korzyści z treści wytwarzanych przez wydawców bez ich zgody, że zmusza de facto wydawców do korzystania z pośrednictwa Google w reklamie online. Firma odpowiedziała obietnicą poprawy przedstawioną w memorandum z 25 kwietnia br.

Niektóre państwa próbują samodzielnie temperować praktyki Google.

– *Niemiecki Bundestag przyjął tzw. Lex Google, czyli poprawkę do prawa autorskiego. Nakazuje ona profesjonalnym serwisom internetowym wyświetlać fragmenty „produktów prasowych”, czyli fragmenty tekstów, tak jak w Google News, by płaciły wydawcom* – wyjaśnia Karol Kościński, dyrektor Departamentu Własności Intelektualnej i Mediów w Ministerstwie Kultury. – *Francja z kolei poszła na porozumienie, w ramach którego Google przeznaczył 60 mln euro na fundusz wspierający poszukiwanie przez wydawców nowych cyfrowych modeli biznesowych.*